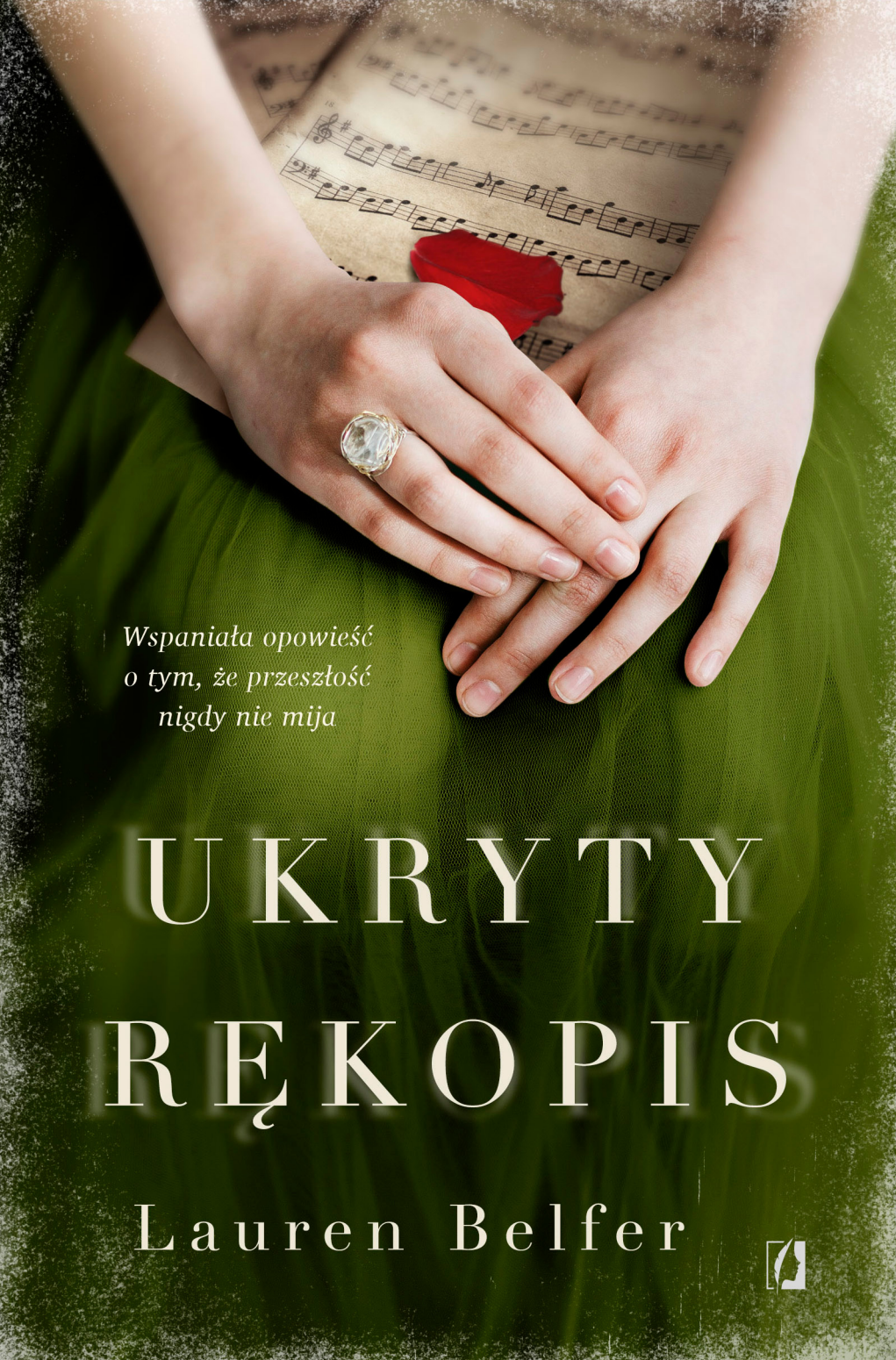




Wspaniała opowieść
o tym, że przeszłość
nigdy nie mija

UKRYTY RĘKOPIS

Lauren Belfer



Lauren Belfer

UKRYTY RĘKOPIS

PRZEŁOŻYŁ

Przemysław Hejmej



WYDAWNICTWO
KOBIECE

TYTUŁ ORYGINAŁU:

And After the Fire

Redaktor prowadząca: Aneta Bujno

Redakcja, korekta i skład: Studio Editio

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce: © sashalaguna (Shutterstock.com)

Copyright © 2016 by Lauren Belfer

All rights reserved

Copyright © 2018 for Polish edition by Wydawnictwo Kobiece Łukasz Kierus

Copyright © for Polish translation by Przemysław Hejmej

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2018

ISBN 978-83-66074-28-6



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:
www.facebook.com/kobiece



WYDAWNICTWO
KOBIECE

www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo Kobiece

E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

www.wydawnictwokobiece.pl

Wieczorem słyhać czyjeś kroki – ale nikogo nie widać.

– Adam Zagajewski

Nienapisana elegia dla Żydów krakowskich

Prolog

*Niemcy, amerykańska strefa okupacyjna
Maj 1945 roku*

WCALE NIE CHCIAŁ JEJ ZABIĆ.

Popołudnie zaczęło się dość miło, biorąc pod uwagę, że przecież znajdowali się w spustoszonych przez wojnę Niemczech tuż po ich kapitulacji. Kapral Henry Sachs opierał się o balustradę zrujnowanego zamku, podziwiając dym unoszący się w słonecznym blasku; naszła go refleksja, że życie układa się całkiem nieźle. Nagle poczuł smagnięcie chłodnego wiatru. Z miejsca, w którym stał, roztaczał się widok na dolinę, wiele kilometrów w głąb. Wysoko w powietrzu krążyły jastrzębie, iglice kościołów świadczyły o obecności wsi i miast. Na odległych wzgórzach sterczało kilka zamków.

Wojna się skończyła. Przeżył. Trudno było domagać się czegoś więcej, zresztą wcale nie miał takiego zamiaru. Liczył dwadzieścia jeden lat i był pełen animuszu, jak sam powiadał. Miał sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu (no dobrze, w butach), ciemne włosy i piwne oczy, emanował łagodnością oraz pewną aurą niefrasobliwości; uważał, że przypomina Humphreya Bogarta. Do armii zaciągnął się w 1942 roku, dzień po ukończeniu liceum, i szczyił się, że to on wybrał służbę wojskową, a nie odwrotnie.

Dziś również postępował według własnej woli. Trzecia Armia planowała się wkrótce wycofać, a tę część Niemiec mieli przejąć Sowietzi. Zanim jednak Amerykanie powiedzą ostateczne *auf Wiedersehen*, Henry zapragnął trochę pozwiedzać. Do towarzystwa skaptował swojego najlepszego kumpla, Pete'a Galinsky'ego, który dreptał teraz tam i z powrotem, aby mieć jak najlepszy widok. Pożyczyli sobie – by tak to ująć – wojskowego jeepa i wyruszyli w drogę. Odwiedzali średniowieczne miasteczka, oglądali stare kościoły. Za czekoladę i papierosy, obecnie obowiązującą walutę, zjedli obiad w zamożnym gospodarstwie rolnym, gdzie przekomarzali się z miejscowymi dziećmi; Henry zauważył, że nigdzie nie było widać ani jednego dorosłego mężczyzny.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła szesnasta. – Ruszajmy z powrotem – powiedział. „Z powrotem” oznaczało Weimar, miasto, w którym stacjonowali.

– Słusznie – zgodził się Pete.

Henry cisnął niedopałek papierosa za balustradę. Wrócił do jeepa, Sachs usiadł za kierownicą. Galinsky nawigował, badając pilnie mapę i co chwila sprawdzając balansujący na jego kolanie kompas. Choć miał dwadzieścia lat, wyglądał na pięćdziesiąt. Jego pociągła, szczupła twarz pasowała do długiego i chudego ciała. Pochodził z Buffalo w stanie Nowy Jork, gdzie ze szkoły średniej przeszedł od razu do pracy w rodzinnym sklepie odzieżowym. Armia w swojej mądrości uznała, że powinien zostać wojskowym mechanikiem i przeszkoliła Pete'a, aby naprawiał ciężarówki.

Szybko znaleźli się z powrotem na głównej szosie. Gdy objechali zbocze wzgórza, otworzyła się przed nimi rozległa panorama okolicy: łąki ciągnęły się w nieskończoność. Henry mocno docisnął pedał gazu, poczuł się wolny. Wiatr, który uderzał go w twarz, pachniał żyznością i bogactwem urodzaju. Wciągnął głęboko powietrze, napełniając płuca. Wojna w Europie dobiegła

końca. Zwyciężyli ci, którzy powinni, ci dobrzy. Ogarnęło go uniesienie. Poczucie triumfu. Był niezwyciężony.

– Stąd już cały czas prosto – odezwał się Pete. – Będziemy mieć czas zwiedzić po drodze pałac Tiefert.

Godziny otwarcia pałacu (jeśli jakieś obowiązywały) ich nie dotyczyły, ponieważ Henry mówił po niemiecku jak tubylec, dodatkowo dysponował pokaźnym zapasem czekolady i papierosów w plecaku, zdolnych przełamać każdy opór. Sachs urodził się na Brooklynie, gdzie jego rodzina posiadała sklep obuwniczy, ale ojciec pochodził z Prus Wschodnich, matka zaś z Kraju Sudetów. W domu rozmawiało się po niemiecku, a niuansów gramatyki tego języka Henry nauczył się w liceum. Wojnę spędził jako tłumacz zatrudniony w jednostce wywiadu.

– *Zamek i park Tiefert, dawna letnia rezydencja księżnej Anny Amalii...* – Pete czytał na głos fragment przewodnika Baedekera, podarunek od ojca Henry'ego, który ten otrzymał w dniu zaokrętowania.

Wyjeżdżając do Ameryki, matka Sachsa pozostawiła w Sudetach swoją liczną rodzinę, zamieszkałą w mieście Eger. Często wymieniała z jej członkami listy i fotografie. Henry nigdy nie poznał żadnej z tych osób, choć znał je ze zdjęć: przepiękną kuzynkę Shoshannę z włosami zebranymi w kucyk; ciotkę Chanę o krągłej twarzy i równie krągłym ciele, i zimą, i latem zawsze ubraną w futro, przynajmniej na fotografiach; wuja Maxa, który stał dumnie przed rodzinnym sklepem pamsanteryjnym; kuzyna Jakoba, swojego rówieśnika, noszącego grube okulary i czytającego jakąś książkę; najmłodszego kuzyna Franza o jasnoblond włosach w tyrolskim kaftanie. Franz trzymał za rękę starego dziadka Abrahama i spoglądał w aparat fotograficzny z przestachem. Abraham patrzył na chłopca z uśmiechem pełnym miłości i pobjaźania, który sprawiał, że Henry czuł się prawie zazdrosny. Abraham był bowiem również jego dziadkiem.

Po wybuchu wojny matka przestała otrzymywać jakiekolwiek listy i zdjęcia od swojej rodziny.

Henry zerknął na swojego towarzysza. Czy Pete miał krewnych w Europie ogarniętej zawieruchą wojenną? Nie mógł go o to zapytać. Oczywiście, bardzo często żartowali sobie ze swoich rodzinnych miejscowości i drużyn bejsbolowych (Henry z Brooklyn Dodgers, natomiast Pete z New York Yankees, ponieważ jego rodzinne miasto nie miało własnej drużyny pierwszoligowej).

Ale dopytywanie się o sprawy naprawdę ważne? Co to, to nie.

Koledzy trochę dokuczali obu chłopakom z powodu ich żydowskiego pochodzenia, ale nie bardziej niż, powiedzmy, Irlandczykom znoszącym docinki za to, że są Irlandczykami. Można być antyirlandzkim, antywłoskim, antykatolickim, antyżydowskim, antymurzyńskim – nieważne. Ważne, że Ameryka jest dla wszystkich i zazwyczaj nikogo z wyżej wymienionych powodów nie mordowano, przynajmniej wtedy, gdy miało się białą barwę skóry. Zanim wstąpił do wojska, Henry słyszał krążące po ulicach pogłoski o żydowskich dekownikach, gdy jednak sam przywdział mundur, położył im kres. Wyżsi rangą oficerowie, dla których pracował jako tłumacz, opowiadali kawały o parszywych i podłych Żydach, o prezydencie Rosenfeldzie i jego „Jew Deal”, same typowe bzdury. Henry dusił gniew głęboko w sobie, ponieważ funkcja tłumacza na dalekich tyłach była o niebo lepsza niż rola mięsa armatniego na pierwszej linii frontu.

– Droga do pałacu Tiefurt będzie po lewej, tuż przed centrum miasta – powiedział Pete.

Oczywiście, po zaciągnięciu się do wojska nie było Henry’emu łatwo, przynajmniej na początku. W trakcie unitarki miał do czynienia z grupą chłopaków z małego miasta (są w ogóle jacyś inni chłopcy na tym świecie?) w stanie Arkansas. Nigdy w życiu nie widzieli na oczy Żyda i zadawali

Henry'emu pytania o to, czy ma rogi i ogon, zwykłe, stare jak świat oszczerce kpiny. *Bo co, chłopaczki, serio chcecie przylukać?* – odpowiadał Henry swym najlepszym brooklińskim akcentem ulicznego zabijaki. Oczywiście nie chcieli.

– Za chwilę powinien być ten zakręt – powtórzył Pete.

Dotarli już do przedmieść Weimaru. Okolica wyglądała przynębiająco. Kiedyś, przed tym jak alianci zbombardowali miasto i zanim jeszcze doszło do bitwy o kontrolę nad nim, musiała się tu znajdować dzielnica przemysłowa. W asfalcie widniały dziury wielkości czołgu. W wielkich połaciach błota zalegały zerwane elektryczne druty. W oddali majaczyła wieża weimarskiego zamku Schloss, ale przedostanie się tam zdawało się teraz dość problematyczne.

– Może na dziś wystarczy? – zaproponował Henry.

– Bez obaw – odrzekł Pete. – To niedaleko. Pałac Tiefurt, kiedy znowu będziemy mieli okazję tu być?

Zbliżali się do centrum miasta. Budynki municypalne znajdowały się po prawej, po lewej widzieli strome wzgórze. Boczna droga wiodła w górę zbocza. Podjąwszy błyskawiczną decyzję, Henry w nią skręcił. Pete miał w końcu rację – czy będą mieli jeszcze szansę tu powrócić? Przełączył bieg na jedynkę, żeby dać jeepowi więcej mocy. Na szczycie wzgórza wyrósł przed nimi kościół. Sachs skręcił ostro w lewo, nie miał innego wyjścia.

– Jasna cholera – rzucił Pete.

Henry zgodził się z tą uwagą.

Widzieli teraz przed sobą spokojną dzielnicę mieszkalną, szeroką ulicę, przy której stały kamienne domy z zielonymi trawnikami i wysokimi drzewami. Budynki miały po cztery kondygnacje, ozdobne kolumny, rzeźbione drzwi frontowe i bramy z kutego żelaza. Małe dworki.

Henry wolno jechał ulicą. Mimo swych wielkich rozmiarów domy zajmowały ciasne posesje. Jeden pałacyk za drugim

niby kamienne olbrzymy skupione blisko siebie. Sachs poczuł dziwny niepokój. Ta dzielnica nie została zbombardowana, ale domy wyglądały na opuszczone. Okiennice pozamykano, natomiast te okna, które były ich pozbawione, zabito deskami od wewnątrz. Niekoszona trawa wyrosła bujnie, ogrody również sprawiały wrażenie zaniedbanych. Henry spędził już w tym poronionym kraju dość czasu, by wiedzieć, że Niemcy lubią mieć przystrzyżoną murawę, a ogródki schludnie ogarnięte.

– Zauważyłeś, że wokół tych domów jest bardzo mało terenu? – zapytał Pete. – To znaczy, że ziemia musi być bardzo droga, skoro buduje się jeden pałacyk zaraz obok drugiego.

– Skąd wiesz o takich rzeczach?

– Kiedyś do naszego sklepu przyszedł jeden facet, chciał kupić smoking. Pracował w nieruchomościach. Uważał się za grubą rybę. On mówił, ja słuchałem.

Czyżby to miała być przyszłość Pete'a – sprzedawanie ubrań w Buffalo, zadowalanie klientów umiejętnością słuchania ich gadaniny? Henry pragnął od życia czegoś więcej, choć sam nie bardzo wiedział, czego.

– Wygląda na to, że ulica została ewakuowana – ciągnął Pete. – Bogacze wyjechali, zanim wejdą Rosjanie. A może mieszkały tu jakieś nazistowskie szczy, a teraz chowają się po strychach?

– Niewykluczone. – Henry zaparkował na poboczu, jakby zamierzali odwiedzić znajomych. – Rozejrzyjmy się trochę. – Wysiadł z jeepa i zabrał swój plecak.

– Jeep nie będzie tu bezpieczny – zaprotestował Pete.

– Dajże spokój, mamusiu. Nic mu się nie stanie – odparł Sachs, chociaż zdawał sobie sprawę, że faktycznie nie jest bezpiecznie, szczególnie dla zapasowego koła i szwabskich kanistrów na benzynę. – Nie będzie nas tylko pięć minut.

Pete wzruszył ramionami, ale podążył w ślad za kolegą. Z hełmami na głowach i karabinami szli opustoszałą ulicą.

Przyglądając się pałacykom, Henry zauważył, że te po lewej zbudowano równolegle do grzbietu wzgórza z widokiem na zieloną dolinę. Po jej drugiej stronie grunt wznosił się stromo, gęsto porośnięty drzewami. Cały ten pejzaż pławił się w pomarańczowym świetle późnego popołudnia.

Kiedy dotarli do jakiegoś domu bez ogrodzenia, Henry wszedł na trawnik, chcąc uzyskać lepszy widok na okolicę. Jaskrawość padających pod niskim kątem promieni słonecznych w połączeniu z wielkimi, szarymi chmurami na czystym błękitnym niebie przywodziły na myśl słowa *Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię*. Sachs nie był człowiekiem religijnym, podobnie jak jego rodzice, ale w wieku trzynastu lat odbył swoją bar micwę *tak na wszelki wypadek*, jak ujmowała to matka. Widząc dolinę wypełnioną światłem, Henry poczuł dziwne duchowe przyciąganie, coś, czego nigdy wcześniej nie doświadczył.

Pomyślał: czy obóz koncentracyjny w Buchenwaldzie jest gdzieś właśnie tam, po drugiej stronie pasma wzgórz? Buchenwald znaczył po niemiecku tyle co „bukowy las”, ale nie było to miejsce nadające się do leśnych spacerów. Obóz zbudowano na polanie na szczycie wzgórza sześć kilometrów od Weimaru. Ponieważ Henry znał język niemiecki i pracował dla wywiadu wojskowego, skierowano go do oprowadzania tutejszych mieszkańców po obozie i podsłuchiwania ich rozmów. Na wizyty te stateczni mieszkańcy Weimaru przywdziewali swoją najlepszą niedzielną odzież. Panie chodziły na sztywnych, wysokich obcasach, na głowach miały filcowe kapelusze, w rękach skórzane torebki. Mężczyźni (wszyscy powyżej wieku poborowego) zakładali garnitury i krawaty bądź tweedowe marynarki z kamizelką. Do tego równie obowiązkowy krawat. Oni także nosili kapelusze. Jadąc do obozu ciężarówkami, większość dowcipkowała i śmiała się głośno, jakby czekał ich letni, wakacyjny wypad.

Kiedy docierali na miejsce, witały ich puste spojrzenia więźniów – wolno przesuwających się szkieletów – którzy przeżyli obóz. Zwiedzający oglądali stopy, ręce i nogi wystające pod nienaturalnym kątem. Patrząc na te stopy nagich męskich zwłok, nastoletnie dziewczęta zakrywały twarze dłońmi, aby ukryć nerwowy chichot. Kobiety osłaniały usta i nosy chusteczkami, chroniąc się przed smrodem. Henry miał ochotę wyrwać im te chusteczki i wciskać te tłuste twarze prosto w gnijące trupy.

Ów smród obozu prześladował Sachsa nieustannie, dzień i noc przyprowadzał o mdłości.

Henry musiał odgrywać rolę przewodnika po Buchenwaldzie dla pięciuset osób. Czasem fakt, że rozumiał niemiecki, okazywał się torturą i przekleństwem. Do diabła z tymi wszystkimi kłamstwami, jakie Niemcy wciskali amerykańskim żołnierzom, że nie mieli pojęcia o istnieniu obozu. Na litość boską, przecież wielu z nich tu pracowało. Miejscowi właściciele sklepów spożywczych dostarczali żywność dowódcy obozu i ich rodzinom, a także strażnikom. Mieszkańcy Weimaru podróżowali tą samą kolejką podmiejską, co nieszczęśnicy zmierzający prosto do obozu. „Turyści” oprowadzani przez Henry’ego rozmawiali między sobą o popiołach rozwiewanych przez wiatry, które unosiły się nad miastem, pozostawiając szarobiały pył na parapetach i schodach przed domami. Obywatele Weimaru doskonale wiedzieli, skąd się te popioły biorą: z krematorium w Buchenwaldzie.

Oprowadzani przez Henry’ego ludzie sądzili zapewne, że ich przewodnik mówi po niemiecku zbyt słabo, aby zrozumieć treść ich rozmów. Ale Sachs je rozumiał. Każde wypowiedziane słowo. Dowiedział się między innymi, że weimarski *Hauptbahnhof*, czyli główny dworzec kolejowy, stanowił punkt tranzytowy dla jeńców wysyłanych na Wschód. Wchodząc na stację, widziało się stare kobiety, małe dzieci, matki i ojców

z całej Europy, jak przesiadali się z jednego pociągu do drugiego. Tysiące, tysiące cywili wciskanych do bydłowych wagonów zmierzających na Wschód, gdzie było naprawdę źle. A przynajmniej takie krążyły pogłoski. Henry wiedział, iż są one prawdziwe. Buchenwald był przede wszystkim obozem pracy niewolniczej, nie fabryką śmierci jak wiele innych tego typu miejsc na Wschodzie, o których słyszał. Na Wschodzie zabijano ludzi trującym gazem, a ich zwłoki palono. W Buchenwaldzie nie było komór gazowych. A mimo to, kiedy zmusza się ludzi do morderczej pracy ponad siły, nie dając im wystarczająco dużo jedzenia, nie oglądając się na chorych, gdy z powodu różnych uchybień – wymaginowanych i rzeczywistych – wieszają ich i rozstrzelują, trzeba się liczyć z górą trupów tak wysoką, że obozowe krematorium nie nadąży z ich spalaniem.

Stojąc pod grzbietem wzgórza i wpatrując się w krajobraz, Henry zaczął zadawać sobie nieuchronne pytanie: skoro Bóg stworzył świat i wszystko, co w nim jest, jak kiedyś Henry'ego uczono, czy to znaczy, że stworzył również Buchenwald?

Nie. *Nie. Daj już sobie z tym spokój*, Sachs polecił sobie w myślach. *Wojna jest skończona, udało mi się wyjść z niej cało. Dzisiaj zwiedzają okolicę jak normalni ludzie w obcym kraju. Przy odrobinie szczęścia wkrótce wrócą do domu.* Wyobraził sobie zwykły dzień na Coney Island, piasek pod stopami, słony posmak oceanu unoszący się w powietrzu. Za chwilę wbiegnie do wody i pozwoli, aby zmyła zeń wszystkie okropne wspomnienia.

Oczyma wyobraźni ujrzał siebie za stołem w jadalni, siedzącego razem z rodzicami i młodszą siostrą Evelyn. Miała obecnie siedem lat, bez przerwy coś czytała, przynajmniej według listu, który Henry dostał od matki. Była śliczna. Przechowywał jej zdjęcie w portfelu. Kiedy wróci i odpocznie, zadzwoni do paru dziewczyn, które znał jeszcze z szkoły średniej. Dowie się, jak potraktowały je minione lata. Jest przecież weteranem,

a zgodnie z nową ustawą za studia zapłaci mu wojsko; otworzy się przed nim wspaniała przyszłość. Dziewczyny będą szaleć.

Wyobraził sobie, jak dostaje się na Brooklyn College. Żeby studiować co? Nie miał pojęcia. Wobec perspektywy powrotu do cywila poczuł, jak kurczy mu się żołądek.

– Chodźmy – powiedział Pete. – Musimy się ruszyć.

– Dobry pomysł. – Henry odwrócił się tyłem do doliny i stanął twarzą w kierunku tylnej części domu. Tutaj nie było desek w oknach. Weranda prowadziła do szerokich drzwi, otwartych na popołudniowe wiatry. Kute żelazne krzesła i szklany stolik na metalowym stelażu ustawiono na werandzie tak, aby w pełni korzystać z widoku. Henry wyobraził sobie oficerów SS, odpoczywających tu po pracy, popijających drinki i palących papierosy po kolacji.

Podszedł bliżej. Na stoliku znajdowały się filiżanka i spodek, a także jakaś książka. Odniosł wrażenie, że zaledwie sekundę temu ktoś wstał i poszedł do wnętrza domu po sweter. I że ta osoba za chwilę wróci.

Po schodkach Sachs wspiał się na werandę. Stojący za nim Pete powiedział coś ostrzegawczo, lecz Henry go zignorował. Przeszedł przez otwarte drzwi. Pete ruszył za nim.

Znaleźli się w pokoju, owalnym i jasnym. Henry podniósł wzrok. Świetlik w kopulastym sklepieniu. Pomieszczenie wypełniały delikatne meble, w jakich Sachs rozpoznał antyki... Drewniane fotele na patykowatych nóżkach, które zapewne zapadłyby się pod jego ciężarem, mały okrągły stolik wyglądający jakby chodził na palcach. Gzyms marmurowego kominka rzeźbiony w skomplikowane zawijasy w kształcie ptasich piór. Na jednej ze ścian obraz, a właściwie fresk: widok na okoliczną dolinę. Wielki, wspaniały fortepian zajmujący całą przeciwną część pokoju. Z zamkniętą pokrywą, zakrytą klawiaturą. Na ławeczce przed instrumentem zalegało całe mnóstwo papierów.

– Zobacz – rzucił Pete. – Garnek. Zawieszony nad paleniskiem.

Elektryczności nie było, gazu zapewne również. Ktoś radził więc sobie, jak mógł, starając się przetrwać.

– Palili książki z braku innego opału – dokończył Pete.

Niewątpliwie tak; z boku piętrzył się cały stos woluminów. Przyjrzawszy się bliżej szczątkom w palenisku, Henry zobaczył pozostałości zadrukowanych stron, wymięte i szerniałe.

Tymczasem Pete badał stos książek. – Spójrz no tylko: złota czcionka na froncie. – Uniósł jeden tom tak, by Henry mógł go zobaczyć, a potem przekartkował. – Wydanie z 1811 roku. – Galinsky chwycił kolejną książkę. – Tę wydrukowano w 1793. Zobacz, jaką ma skórzaną obwolutę.

To były kosztowne woluminy, przynajmniej niektóre, Henry nie miał co do tego wątpliwości.

– Wezmę sobie parę na pamiątkę – oznajmił Pete. – I tak by je dziś spalono, więc co za różnica.

Wprawdzie tego typu proceder był zakazany, jednak wszyscy tak robili. Henry miał kolegów, którzy wysyłali do domu całe paczki wypchane niemieckimi mieczami, aparatami fotograficznymi, srebrną zastawą stołową, porcelaną i obrazami.

On sam, jak dotąd, nie połakomił się na nic. Nic aż tak bardzo go nie pociągało.

– Kto wie, czy jakaś stara książka nie okaże się warta fortuny – rzucił Pete.

Sachs podszedł do ławeczki przed fortepianem i otworzył ją. Nuty wypełniały ją po brzegi, warstwami. Niektóre wydrukowane, inne napisane odręcznie. Jedne nowe, drugie stare.

Kiedy Henry był dzieckiem, matka wysyłała go na przymusowe lekcje gry na pianinie do pani Kaminsky, która mieszkała na pierwszym piętrze ich kamienicy. Po śmierci męża kobieta dorabiała sobie, ucząc dzieci gry na tym instrumencie. Nie zamierza korzystać z zasiłków i wsparcia instytucji

dobroczynnych, oznajmiła matka Henry'ego z aprobatą. Tak więc przez cztery kolejne lata, w każdym tygodniu, dopóki syn pani Kaminsky nie zabrał jej do siebie do Cincinnati, młody Sachs schodził na niższe piętro, aby pobierać lekcje na wysłużonym pianinie z pionowymi strunami, po czym wręczał nauczycielce kilka monet. Nie mając instrumentu u siebie w domu, nie mógł ćwiczyć, ale nauczył się paru rzeczy. A właściwie wielu rzeczy. Rozwinął w sobie pasję do muzyki poważnej, słuchał koncertów nadawanych przez nowojorską stację radiową WQXR. Nigdy się do tego nie przyznał kolegom z wojska, ale ciekawość muzyki nie opuszczała go na krok.

Henry wyjął z ławeczki folder, który wyglądał na stary. Zawierał zapis muzyczny, jedną stronę po drugiej, odręczny i jakby sporządzony w pośpiechu, sądząc po skreśleniach i nadpisywaniach. Tusz przebił się przez papier. Henry wetknął arkusz z nutami do swojego plecaka. Było w nim jeszcze trochę wolnego miejsca. Czemu właściwie nie, u diabła? Wyciągnął rękę, aby...

– *Was machen Sie?* – odezwał się żeński głos zza pleców Sachsa. *Co pan robi?*

Henry odwrócił się i zobaczył kobietę, która mierzyła doń z pistoletu, trzymając go obiema rękoma i próbując opanować drżenie. Broń musiała być ciężka, jakiś model niemieckiego pistoletu wojskowego. Kobieta była tak chuda, że jej ramiona wyglądały jak cienkie gałązki, mogące w każdej chwili złamać się pod tym brzemieniem. Tylko że – uświadomił sobie zszokowany Henry – to wcale nie była kobieta. Raczej piętnasto-, szesnastoletnia dziewczyna o bardzo bladej skórze i włosach posklejanych w kępki. Na przedzie jej sukienki widniała dziura.

– *Was machen Sie hier?* – Wciąż udawało jej się utrzymać pistolet wycelowany w pierś Sachsa. *Co pan tutaj robi?*

– *Ruhig* – odrzekł Henry. *Spokojnie. – Seien Sie ruhig. – Proszę się nie denerwować.*

– O kurwa – odezwał się Pete.

– Nic się nie dzieje – rzucił Henry po angielsku w stronę kolegi. A potem powiedział po niemiecku: – *Mamy papierosy. I czekoladę. Odłóż pistolet, a chętnie się podzielimy.*

Zaczynał już czuć zapach dziewczyny. Na pewno od dawna nie brała kąpeli. Zalatywała wojną, smrodem nie różniącym się od gnijących trupów. Słaba, odrażająca woń rozkładu człowieka jeszcze żywego. Zdawała się skupiać wszystkie swoje siły na utrzymaniu broni we właściwej pozycji, czyli wymierzonej prosto w niego.

– *Zostaw to, Fräulein, nic ci nie zrobimy.*

– Każ jej odłożyć spluwę – powiedział Pete.

– Staram się – odparł Henry. – *Fräulein, wojna się już skończyła.*

– Dlaczego ona nie odkłada broni? – nie ustępował Pete.

– *Myślisz, że nie rozpoznam Żyda, jak go zobaczę? Mówisz po niemiecku jak Żyd* – odezwała się dziewczyna.

Sachsa znów ogarnął powodujący mdłości fetor Buchenwaldu.

– Co ona mówi? – Pete złapał swój karabin.

– *Ten dom należał do Żydów. Miłych Żydów – nie takich jak wy.*

– Przetłumacz mi, co ona gada.

– Nic – powiedział Henry. – Nie mówi nic takiego. – I zwracając się do dziewczyny, spytał: – *Kim oni byli, ci Żydzi, właściciele tego domu?* – Musiał zadać to pytanie, musiał usłyszeć odpowiedź. Naprawdę chciał zrozumieć ten zapomniany przez Boga kraj. – *Co się z nimi stało?*

– *Z tymi Żydami? Wyjechali.*

Wcale nie wyjechali, pomyślał Henry. Wyłapano ich po kolei. – *To byli twoi przyjaciele?* – Akcent dziewczyny różnił się od tego, który Sachs słyszał w domu i w szkole. Zapewne należała do niższej klasy społecznej. – *Pracowałaś tutaj?*

– Wy, Żydzi, nie dacie rady się na mnie zemścić.

Zemścić? Henry nie lubił Niemców, ale nie miał zamiaru mordować niemieckich cywili. Właściwie chciał okazać się lepszy od Niemców. Pomóc dziewczynie.

– Nie powinnaś tu być. Amerykanie się wycofują, wchodzi Rosjanie. Słyszeliśmy wiele złych rzeczy o tym, co się działo, kiedy dorwali się do niemieckich kobiet.

Dane wywiadowcze wskazywały, że gdziekolwiek się pojawili, sowieccy żołnierze gwałcili po drodze kobiety, dziewczęta, staruszki, a nawet kaleki – było im wszystko jedno.

– Powinnaś uciekać na zachód. Możemy ci pomóc, ale najpierw odłóż pistolet.

– Wy, dwaj złodzieje, zamierzacie mi pomagać? – Nagle ramiona i ręce dziewczyny całkowicie znieruchomiały. Dokładniej wymierzyła broń w pierś Henry’ego i pociągnęła za spust.

Pocisk chybił, trafiając w ścianę za jego plecami. Pete wystrzelił z karabinu pod nogi Niemki dla postrachu. Żaden z nich nigdy nie strzelał do kobiety. Prawdę mówiąc, nigdy do nikogo nie strzelali. Pracowali na armijnych tyłach jako wsparcie – tłumacz i mechanik – i nie walczyli na linii frontu. Dziewczyna wypaliła ponownie, tym razem do Pete’a. Trafiła go w ramię. Po czym lekko się obróciła, znów celując w Henry’ego.

Przypomniawszy sobie wreszcie o swoim wojskowym przeszkoleniu, Sachs uniósł karabin i wystrzelił prosto w pierś dziewczyny. Upadła na plecy, na zagraconą podłogę. Jej ciało zadrżało spazmatycznie. Wokół zaczęła gromadzić się krew. Czas, który dotąd biegł bardzo szybko, nagle zwolnił, a potem się zatrzymał. Henry nie był zdolny wykonać żadnego ruchu. Nie pojmował, co właśnie zrobił.

– Cholera, jestem ranny – jęknął Pete. – Ta pierdolona dziwka mnie postrzeliła.

Sachs rozpiął pasek i zacisnął go na górnej części ramienia Pete'a, aby zatamować krwawienie. – Trzymaj rękę w górze, wysoko.

Rana nie była poważna, krew niemal przestała spływać. Pete'owi właściwie nic się nie stało w porównaniu z dziewczyną leżącą u ich stóp, wokół której rozlewała się coraz większa i coraz gęstsza kałuża czerwieni. Otwarte, nieruchome oczy wpatrywały się w sufitowy świetlik.

– Chryste Panie – jęknął Pete. – Wynosimy się stąd. – Ruszył w stronę drzwi. – Przyjazd tutaj to był najbardziej popierdolony z twoich pomysłów. Miejmy nadzieję, że jeep nadal stoi.

Henry nie odpowiedział. Nie mógł pozbierać myśli.

– Chodźmy!

Pete miał rację, musieli się stąd wynosić. Henry zamknął za sobą drzwi domu. Nie chciał, żeby do środka dostały się jakieś zwierzęta, znęcone zapachem krwi. Co jeszcze mógłby zrobić? Wezwać karetkę pogotowia? Cała Europa była usiana martwymi ciałami. Nie starczyłoby wszystkich ambulansów świata, żeby pozbierać te trupy.

Cudem jeep nie odniósł żadnych szkód. Koło zapasowe tkwiło na swoim miejscu, szwabskie kanistry leżały pod brezentem. Ani Henry, ani Pete nie wspomnieli więcej o pałacu Tiefurt. Odjechali w milczeniu.

Obłąkany gauleiter. Tak napisali w raporcie, ponieważ Pete musiał udać się do lekarza w celu opatrzenia rany. Nie mogli więc udawać, że nic się nie wydarzyło. Winny był obłąkany gauleiter, którego zresztą zastrzelili.

I to wszystko. Wojna się skończyła. Nikogo nie obchodziły jakieś drobiazgi, zwłaszcza te dotyczące Niemców. Doktor opatrzył ramię Pete'a, a kilka miesięcy później z rany pozostała tylko blizna, którą Galinsky mógł się chwalić.

Dziewczyna była słaba. Ledwie zdolna utrzymać pistolet, ale wystrzeliła pierwsza. Dlatego Henry zabił ją w samoobronie. Prawda?

W kolejnych latach wielokrotnie, a właściwie nieustannie przetrawiał to wszystko w myślach, próbując przekonywać samego siebie.

Na wpół oszalała istota, leżąca na parkiecie, martwa, cała we krwi. Ile minęło dni albo miesięcy nim znaleziono jej ciało? Zanim ją pochowano?

Henry Sachs nie przestawał się nad tym zastanawiać przez sześćdziesiąt pięć lat.



WYDAWNICTWO
KOBIECE

Spodobał Ci się fragment tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

 www.facebook.com/kobiece



ul. Andersa 40A

15-113 Białystok

e-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

tel. 731-019-059